GUMY, ŻABY I INNE TAJEMNICE WARSZAWY

Gumy, żaby i inne tajemnice Warszawy

CZĘŚĆ I
RÓŻOWA ŚCIEŻKA

Nazywam się… to zależy, kogo zapytasz. Gdybym zapytał samego siebie, odpowiedź też byłaby niepewna. Zmieniałem tożsamości tyle razy, że moje imię stało się bardziej funkcją niż faktem. Jestem detektywem — i to akurat wiem na pewno. W tej branży brak stałego „ja" bywa zaletą.

Tego dnia wszedłem do Żabki przy Rondzie Wiatraczna po baterie. Nie dla siebie — dla mojego psa. To znaczy… psa-robota. Wygląda jak skrzyżowanie kota z tukanem, ma metalowe pióra, szklane oczy i ogon zakończony zestawem czujników. Idealny towarzysz do śledztw i absolutnie fatalny kompan na spacery w niedzielę.

— Zasilanie krytyczne — zamruczał. — Proszę nie wybierać najtańszych baterii.

— Detektyw musi oszczędzać — odpowiedziałem z ironią.

Wtedy ich zobaczyłem.

Staruszkowie stali przy półce ze słodyczami. Babcia drobnymi, zaskakująco szybkimi ruchami pakowała do torby gumy Hubba Bubba. Całe naręcza. Dziadek zasłaniał ją parasolem, rozglądając się nerwowo.

— Przepraszam państwa… — odezwałem się.

— Nic nie widziałeś, synku — syknęła babcia, nawet na mnie nie patrząc.

— A nawet jak coś widziałeś, to i tak nie widziałeś, zrozumiano? — warknął dziadek.

Wyszli szybciej, niż zdążyłem zareagować. Stałem chwilę w miejscu, patrząc na pustą półkę.

— Gumy do żucia? — mruknąłem. — Dla emerytów?

— Anomalia — stwierdził pies. — Dziecięcy produkt, seniorzy jako konsumenci. Podejrzane.

Ruszyłem za nimi.

Szli przez Grochów, jakby znali każdą pękniętą płytę chodnika. Zatrzymali się przy starej kamienicy na Terespolskiej. Gdy wchodzili do bramy, babcia potknęła się. Z kieszeni wypadł notes.

Podniosłem go, zanim drzwi się zamknęły.

Co ciekawe, w środku nie było przepisów na ciasteczka cynamonowe ani numerów telefonów do przychodni. Był za to, jak sugerował nagłówek:

„PLAN OPERACYJNY – ETAP 3”

Niżej podpisy:

Babcia 3000
Dziadek Kosiarka

— Brzmi jak nazwy projektów wojskowych — mruknąłem.

Kartkowałem dalej.

„Babcia 3000 — imię to obowiązuje od dnia, gdy konto spadło do kwoty 2999 zł. Nigdy więcej!”

„Dziadek Kosiarka — koszenie uspokaja. Żabki uciekają. Idealna obserwacja.”

Rysunki gum. Strzałki. Schematy parku.

— To nie są zwykli złodzieje — powiedziałem.

— Potwierdzam — odparł pies. — Wysokie prawdopodobieństwo działań przestępczo-naukowych.

Wieczorem zobaczyłem ich ponownie. Park Skaryszewski był niemal pusty. Staruszkowie rozrzucali gumy po ziemi. Jedna po drugiej. Równo. Jak sznur.

Schowałem się za słupem ogłoszeniowym. Wisiał na nim plakat zaginionego dziecka. Kolejny.

— To oni… — wyszeptałem do psa.

Staruszkowie zniknęli w ciemności.

Spojrzałem na różową ścieżkę gum prowadzącą w głąb parku.

— Idziemy — wydałem komendę.

Zrobiliśmy kilka kroków. Ziemia pod nami zadrżała.

I nagle zapadła się w dół.

CZĘŚĆ II
LABORATORIUM POD PARKIEM

Obudziłem się z bólem głowy i dźwiękiem buczenia w tle.

— Gdzie jesteśmy? — zapytałem.

— Podziemny kompleks — odpowiedział pies. — Jesteśmy w klatce.

Metalowe pręty, beton, jarzeniówki. W innych klatkach — dzieci. Przerażone, ale całe.

— To oni je porwali… — wyszeptałem.

Na środku sali stała maszyna. Ogromna. Parowała, trzęsła się i huczała.

— Witaj, detektywie — odezwała się Babcia 3000 piskliwym głosem.

— Co to za maszyna?! — krzyknąłem.

— Reaktor transformacyjny — powiedziała z dumą. — Zamienia ludzi, a zwłaszcza dzieci w żaby.

— Dlaczego?!

— Bo dzieci to hałas — westchnął dziadek. — A my lubimy ciszę, proste prawda?

Maszyna zawyła.

— Za chwilę kolejny cykl — dodała babcia.

Spojrzałem na psa. Stał nieruchomo, jakby analizował coś w ciszy.

— Tryb awaryjny — powiedział w końcu. — Klatka wykonana ze stopu ferromagnetycznego. Mogę spróbować przeciążenia.

— Jak?

— Przestroję rdzeń energetyczny. Ale potrzebuję chwili.

Staruszkowie byli zajęci maszyną. Pies przyłożył ogon do krat. Z jego końcówki wysunęły się cienkie metalowe igły. Iskry. Kraty zaczęły drżeć.

— Co on robi?! — krzyknęła Babcia 3000.

— Pies! — wrzasnął dziadek.

Kraty pękły z hukiem. Pies wyskoczył, przewrócił się, ale natychmiast zerwał na nogi. Skoczył na pulpit sterowniczy.

— Nie dotykaj tego! — wrzasnęli jednocześnie.

Za późno.

Pies, walcząc z dziadkiem, przypadkiem zahaczył ogonem o sekwencję przełączników. System zawył.

— Sekwencja samozniszczenia aktywna — oznajmił spokojnie.

— Nieee! — krzyknęła Babcia 3000.

Eksplozja była potężna. Ziemia pękła. Klatki się otworzyły. Dzieci pobiegły ku światłu.

Staruszkowie leżeli na ziemi, osmoleni i przerażeni.

— Mogę was zniszczyć — powiedziałem. — Ale tego nie zrobię. Przysięgnijcie, że już nigdy nie skrzywdzicie dzieci.

— Przysięgamy… — wyszeptali.

— Lepiej, żebyście dotrzymali słowa.

Gdy wszystko ucichło, usiadłem na ławce w parku. Pies położył głowę na moim kolanie.

— Jak masz na imię? — zapytał.

Zamyśliłem się.

— Jeszcze nie wiem.

Warszawa oddychała nocą. A ja wiedziałem jedno: jutro mogę być kimś innym. Ale dziś byłem detektywem, który zatrzymał parę emerytowanych naukowców i ich żabią zemstę.

I to mi wystarczyło.

EPILOG
KILKA LAT PÓŹNIEJ

Minęło kilka lat. Trudno powiedzieć dokładnie ile — przestałem liczyć czas mniej więcej wtedy, kiedy po raz trzeci w ciągu jednego roku zmieniłem nazwisko. Warszawa zmienia się szybciej niż ja. Albo wolniej. Zależy, z której strony na nią patrzeć.

Siedziałem w małej kawiarni na Powiślu, tej z krzywymi stolikami i kawą, która zawsze smakuje trochę jak wyrzuty sumienia. Mój pies leżał pod stołem. Nadal wyglądał jak kot skrzyżowany z tukanem, choć dostał nową powłokę i lepsze baterie.

— Wykrywam nostalgiczny nastrój — mruknął.

— To się nazywa starzenie — odpowiedziałem. — Nawet u detektywów bez imienia.

W gazecie, którą czytałem, był krótki artykuł. Trzy zdania, gdzieś między prognozą pogody, a reklamą kremu na stawy.

„Byli naukowcy, znani lokalnie jako Babcia 3000 i Dziadek Kosiarka, zostali wyróżnieni przez radę osiedla za wzorową postawę obywatelską. Prowadzą dziś ogródek społeczny oraz warsztaty dla dzieci.”

Parsknąłem śmiechem.

— Warsztaty dla dzieci… — powtórzyłem. — Ciekawe, czego tam uczą.

— Prawdopodobieństwo recydywy: niskie — odparł pies. — Monitorowałem ich profile. Zero podejrzanych zakupów. Brak gum do żucia.

Spojrzałem przez okno. Tramwaj przejechał, ludzie spieszyli się gdzieś, dzieci śmiały się na przystanku. Normalność. Czasem aż zbyt głośna.

— Wiesz — powiedziałem — zastanawiam się czasem, czy dobrze zrobiłem, darując im życie.

Pies podniósł głowę.

— Moralność nie jest algorytmem binarnym — odpowiedział. — Czasem warto zostawić system otwarty.

Uśmiechnąłem się.

Wyszedłem z kawiarni i ruszyłem w stronę parku. Nie Skaryszewskiego — tamten zawsze będzie miał dla mnie zbyt wiele cieni. Zatrzymałem się przy słupie ogłoszeniowym. Ktoś przykleił nowy plakat.

Zaginął kot.

Zerwałem kartkę, zanim zdążyłem się zastanowić.

— Co robimy? — zapytał pies.

— To zależy — powiedziałem. — Kim dziś jestem.

Poprawiłem płaszcz i ruszyłem przed siebie. Warszawa szeptała pod stopami, a ja wiedziałem jedno: dopóki są tajemnice, dopóty ktoś taki jak ja będzie potrzebny. Nawet jeśli sam nie do końca wie, jak się nazywa.

A mój pies? On zawsze będzie wiedział, gdzie iść.

Nawet bez gum do żucia.

KONIEC

Copyright © by Jakub Jabłonka 2025
Redakcja tekstu: Jakub Jabłonka
Warszawa 2025

Niniejsza książka w formie e-booka powstała w trakcie warsztatów realizowanych w ramach projektu **„Dialog Międzyjęzykowy w Praktyce”**.

Zadanie dofinansowane ze środków **Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego** w ramach programu promocji czytelnictwa.